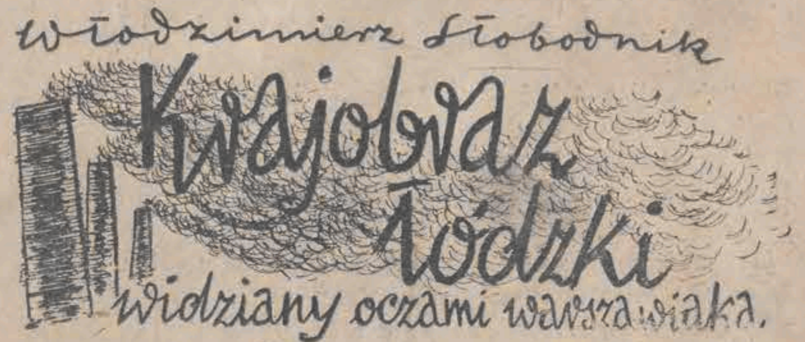
Cena 15 zł

RÓZGI
BIJĄ CO TYDZIEŃ

W NUMERZE:
Z. Fijas
L. Pasternak
M. Samozwaniec
W. Słobodnik
S. Sojecki

Rok II | 14 września 1947 r | Nr 38 (58)



Ilustr. Zbigniew Kiulin



Gdy się po Łodzi włóczę sam
Wieczorem, w nocy, czy nad ranem,
Krajobraz łódzki w sercu mam,
W fabrycznych murach wykąpanem.

Pierwszą ulicę z brzegu weź,
Naprzykład Gdańską lub Kościuszki:
Ni to miasteczko, ni to wieś,
Gdzie chatki mają kurze nóżki.



Tu słonecznika żółtą twarz,
Chałupę jak za czasów Piasta,
A tam wysoki komin masz,
Który pod żebro niebu wrasta.

Wiele zieleni! Zieleń mnie
Zawsze upaja i rozmarza.
Ta zieleń jest na dymów tle
Czułym uśmiechem kominiarza.

„Manchester polski!" Ten i ów
Powtarza z miną uroczystą,
Lecz odpowiadam: „Bujaj zdrów,
Bo Łódź jest Łodzią — ot, i wszystko!"

Uliczkę z kałużami miń,
Wejdź na podwórko całe w zielsku.
Tam świnie są i żadna z świń
Wcale nie kwiczy po angielsku.



Po polsku więdnie jesień tu,
Po polsku lecą z drzew liście
I jakaś Magda woła „tfu!"
Sprawiając rozkosz poloniście . . .

Pałace secesyjne, gdzie
Mieszkali dawniej fabrykanci,
Mijałem nieraz was we mgle,
Wystawną szpetność waszą znam ci!

O Łódź ze światem toczę bój,
Chociaż łodzianie są już tacy,
Że mówią: „Nie ma gorszych szuj,
Niż rodowici warszawiacy!"

Każdy warszawiak, to nie kiep,
Dobrze się wiedzie aferzyście,
Bo ma najlepszy w Łodzi sklep!
(Jestem wyjątkiem, oczywiście).



O Łodzianinie, zgódź się, zgódź,
Że nie mam sklepu, lecz należy
Do mnie poety cała Łódź,
Jej dym na sercu moim leży!

Gdy włóczę się po Łodzi sam,
W mieszkaniu zostawiwszy troskę,
Na własność, ach, Piotrkowską mam
Tę imitacie Marszałkowskiej.



Własnością moją jest twój deszcz
I twoja jesień, chmurna Łodzi,
Gdy jakże czuły nocny dreszcz
Twych gwiazd i latarń mnie przechodzi

Wreszcie poufnie powiem wam:
Własnością moją jest czarowny
Uśmiech niektórych łódzkich dam.
A zwłaszcza bezinteresowny . . .

AMERYKANIE ODBUDOWUJĄ PRZEMYSŁ NIEMIECKI



Rys. KAROL BARANIECKI

„Powrót Frankensteina"

RZĄD RAMADIERA STOI W OBLICZU KRYZYSU APROWIZACYJNEGO



Rys. Regina Kańska

Kogut gallijski w opałach

Różne nasze dzienne sprawy

Czcigodny staruszek Ghandi, niepodległościowiec hinduski tudzież mahatma, posiada oryginalny sposób reagowania na różne niekorzystne zjawiska i wydarzenia, zachodzące w jego ojczyźnie. Gdy więc np. wicekrólowi angielskiemu, noszącemu obecnie o wiele mniej uroczysty tytuł gubernatora, przyjdą do głowy jakieś polityczne witze i tym podobne drakońskie zarządzenia, gdy przedstawiciele „wolnego" Hindustanu wezmą się za łby z przedstawicielami „niezależnego" Pakistanu — prorok porzuca ulubioną kozę, odrywa się od miłego kołowrotka i najspokojniej w świecie zaczyna głodówkę. **Głoduje, ażeby — zademonstrować.**

Mieszkańcy Europy nie posiadają ani tego spokoju ani takiego „opanowania ciała". Zwłaszcza nerwowym Francuzom „kudy" do flegmy fakirów. Dlatego postępują ostatnio wręcz odwrotnie niż Ghandi: **demonstrują, ażeby — nie głodować.** Organizują manifestacje na placach ulicznych, przed Zgromadzeniem Narodowym, a głównie przed siedzibą premiera Ramadier, wznosząc okrzyki: Drogi Premierze, żądamy tańszego chleba!

Premier Ramadier jest podobno bardzo oburzony, że wszystkie demonstracje francuskich mas głodujących „opiewają imiennie na jego nazwisko", a nie np. Andre Philipa (ministra gospodarki narodowej) lub Tanguy Prigenta (ministra rolnictwa). Chodził nawet na skargę do prezydenta Auriola, że „on niewinny".

Ramadier ma słuszność: on — niewinny, ona — winna". Winna mianowicie ramadierowska „racja stanu", która doprowadziła do obniżenia racji chleba we Francji. Bo w Niemczech taż sama racja spowoduje podwyższenie racji chleba. Po wyrażeniu przez rząd francuski zgody na anglo-amerykański plan odbudowy przemysłowej Niemiec.

* * *

Brytyjskie władze okupacyjne bardzo dbają o lebensraum powierzonej im strefy. Obliczyli nawet statystycznie, że zagęszczenie ludności powinno być takie i takie — i ani jeden łebek więcej.

Pamiętamy, jak w tzw. swoim czasie stawali tzw. sztorcem przeciw przyjęciu ustalonej kwoty imigrantów niemieckich, wysiedlanych z Polski. Zadużo jest tego, mówili, to się w strefie nie zmieści, utrzymywali.

Misja nasza w Berlinie wzięła sobie do serca brytyjskie utyskiwania. Nie te, oczywiście, które dotyczyły pozostawienia niemieckiej piątej kolumny w Polsce, ale te z tym niby zagęszczeniem.

Postanowiła mianowicie strefę brytyjską odciążyć od kilkudziesięciu tysięcy polskich górników z Westfalii, którzy pragną wrócić do ojczyzny.

Sprawa, zdawałoby się, jasna i „na rękę" okupacyjnej administracji angielskiej, tymczasem — nic z tego. Anglicy nie chcą. Jak odejdą z kopalni westfalskich pracowici górnicy polscy, kto ich zastąpi w — harowaniu na utrzymanie Herrenvolku?

Gdy Polacy dostarczać będą chleba, Żydzi dostarczą Niemcom rozrywki, Anglicy bowiem znaleźli odpowiednie pomieszczenie dla paru tysięcy uchodźców z nieszczęsnego statku „Exodus 1947": w obozach koncentracyjnych na terenie Niemiec.

To nic, że się w ten sposób strefa zagęści, ale jak się za to podniesie samopoczucie obywateli **odradzającej się Rzeszy?**

Mgr. Różdżka.

P. S. W felietonie „Różne nasze dzienne sprawy" w Nr 31 „Rózeg" z dnia 27 lipca br. znalazła się m. in. wzmianka o sprawie S. A-mana Kurza. W związku z tą wzmianką otrzymaliśmy następujące sprostowanie:

„Głos Wielkopolski"
Rok III Nr 219 P, wydanie A B.
Poznań, poniedziałek 11 sierpnia 1947 r.

Kronika Ostrowska

SPROSTOWANIE

W numerze 189 naszego pisma w „Kronice Ostrowskiej" w sprawozdaniach sądowych ukazała się notatka o skazaniu Augusta Kurza przez Sąd Okręgowy w Ostrowiu na trzy lata więzienia, utratę praw publicznych i honorowych praw obywatelskich na lat dwa oraz przepadek majątku na rzecz Skarbu Państwa za to, że jako członek SA bił po twarzy nie kłaniających mu się Polaków, lżył ich słowami: „Ty, polska świnio" oraz, że spowodował śmierć Franciszka Maszaka przez zrobienie na niego donosu, na skutek czego Maszak został aresztowany i rozstrzelany na Forcie VII w Poznaniu.

Powołując się na tę notatkę, szereg pism wyraziło swe oburzenie i ostro zaatakowało sąd, który taki wyrok wydał.

Otóż stwierdzamy, że zaszło tu nieporozumienie. Kurz skazany został na trzy lata więzienia tylko za bicie i lżenie Polaków, natomiast od głównego zarzutu aktu oskarżenia, a mianowicie spowodowania śmierci Maszaka, został uniewinniony z braku dowodów winy.

Wyrażamy ubolewanie, że na skutek opuszczenia motywów wyroku i wzmianki o uniewinnieniu Kurza od głównego zarzutu tenor wyroku został niejasny i spowodował — nie z naszej winy — niesłuszne ataki prasy na Sąd Okręgowy w Ostrowie.

IGOR SIKIRYCKI

ZMIANY

Rzekł raz do mnie przyjaciel: Nerwy masz wyczerpane.
Klimat radzę ci zmienić, a odczujesz wnet zmianę.
Ja zmieniałem — spójrz na mnie! A więc zmień chociaż raz ty
Proponuję miejscowość odzyskaną: Chojnasty!

Spakowałem manatki: pióro, papier, olejek
I stanąłem o bilet w jednej z czterech kolejek.
Zapłaciłem — dostałem. (Pierwsza zmiana w portfelu)
A nazajutrz wzruszony przyjechałem do celu.

Jak po każdej podróży, człek ma lekki szum w głowie.
Patrzę bilet do Chojnast, a ja w Sobieszowie.
Zapytany kolejarz rzekł: ja panu wyjaśnię.
Tak, ten cały Sobieszów to Chojnasty są właśnie.

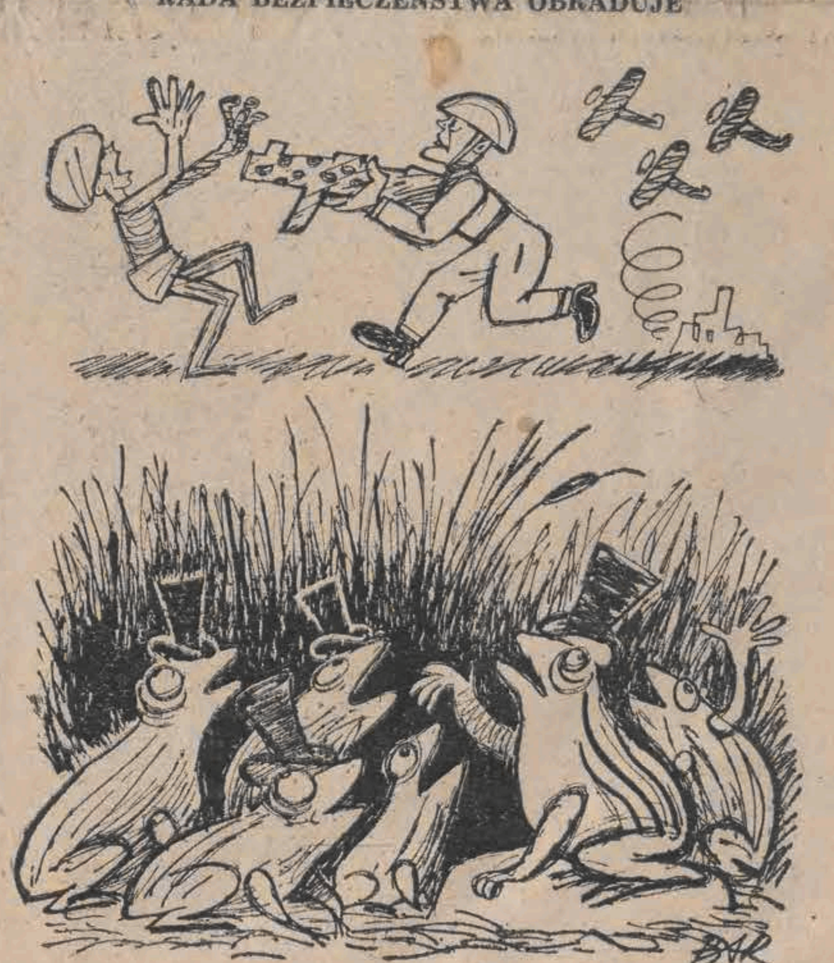
Idę wolno ulicą, tak jak uczy przysłowie.
Czytam: „Społem Chojnasty" obok „Młyn w Sobieszowie"
Wciąż zmieniają się nazwy jakbym błądził w dwóch miastach
Najpierw „Poczta Sobieszów" obok „Tartak w Chojnastach".

Wnet mnie nerwy poniosły, więc kupiłem skorowidz.
Długo tu nie wytrzymam, idę do Matejkowic.
Nie przeczułem rzecz jasna, co u celu mnie czeka:
„Nie ma już Matejkowic, nowa nazwa — Przesieka".

Gdym te słowa usłyszał (wieczór pachniał maciejką)
Zapłakałem jak suseł nad skrzywdzonym Matejką.
Ani jeść już nie chciałem ani napić się mleka,
No, bo w głowie Chojnasty, ten Sobieszów, Przesieka.

Więc zasnąłem w gospodzie pod „Zmienioną Kometą"
I mistrz Jan mi się przyśnił z siedmiobarwną paletą.
„Gwiżdżę — rzekł — na te zmiany", potem wziął mój skorowidz
I „Przesieka" napisał w miejscu tych „Matejkowic".

RADA BEZPIECZEŃSTWA OBRADUJE



Rys. Karol Baraniecki

Rada-Rada-Rada-Rada...



Rys. Karol Baraniecki

INDONEZYJCZYK

LEON PASTERNAK

Pewien poeta dziś lewicowy...

1-szego Maja wstał o siódmej,
krawacik długo wiązał cudny.
Na defiladę wkrótce czas!
On — robi łaskę dziś dla mas!

I oto kroczy już w pochodzie...
Gdzie? Oczywiście, na samym przodzie!
Tuż pod czerwonym transparentem
— lecz z obrzydzeniem i ze wstrętem...

Ach, jak on tego nienawidzi:
sztandarów, tłumów, entuzjazmu!
Jak cuchną ci antropoidzi,
wśród tego wycia, dzikicl spazmów!

„Niech żyje!", „Precz!", „Wyklęty powstań..."
Rozbrzmiewa śpiewem dziś Piotrkowska.
Ławami wali rozśpiewane
— to chamstwo zorganizowane.

Ten motłoch kwadratowo-mordy,
co idzie, koniec świata wieszcząc!
Te barbarzyństwem tchnące hordy,
(co jego wierszy czytać nie chcą...)

I dzisiaj — On — zepchnięty w masy
wybijać musi krok miarowy...!
Bo dzisiaj — On — (o czasy, czasy!)
jest też „POETĄ LEWICOWYM"!

* * *

Ej, zmykaj, bo cię zeklnę brzydko
i lepiej nura daj do bramy!
— — — — — — —
Nie rób nam łaski, sprytny mydłku,
bo my cię znamy. Dobrze znamy.

STANISŁAW SOJECKI

W epoce zakopanych skarbów...

Dozorca, któremu daję dość sute napiwki za otwieranie bramy, odnosi się do mnie nieco uprzejmiej niż do reszty lokatorów. Zyskałem jego sympatię przez to, iż jedyny z mieszkańców nie narzekam na brud w klatce schodowej i śmieci w podwórku kamienicy. Nie dziw tedy, iż wielką tajemnicę, z którą chodził od kilku tygodni, postanowił wyjawić właśnie mnie.. Chodziło o rzecz wagi niezwykłej, mianowicie... o zakopany skarb!...

Według opowiadania — zmarły niedawno z tęsknoty za trzecią wojną pewien dość zamożny osobnik tuż przed wyzionięciem ducha zwierzył się przywołanemu dozorcy, z tajemnicy o zakopanym skarbie, zobowiązując powiernika do wynalezienia osoby, godnej zaufania, której ów skarb powierzyćby należało.

Za osobę godną zaufania dozorca uznał mnie zapewne w mniemaniu, iż, jeżeli skarb wydobędę — jako hojny z natury — podzielę się z nim po chrześcijańsku.

W epoce coraz częściej dobywanych skarbów wiadomość usłyszana od dozorcy nie zdziwiła mnie wcale. Nie mniej, pełen ciekawości, przystąpiłem tej jeszcze nocy do dzieła. Kopaliśmy godzinę, dwie, dwie i pół — wreszcie łopata moja zadźwięczała, uderzywszy o blaszaną puszkę. Jeszcze kwadrans i skarb był w naszych rękach.

Zaprosiłem dozorcę do swego mieszkania, żeby — nie narażeni na ewentualnych świadków — sezam ów otworzyć.

Po rozbiciu puszki dozorca rozczarował się, można powiedzieć, bardzo nieprzyjemnie, ja natomiast, który nie przywiązuję wagi do brzęku monety, aż podskoczyłem z ukontentowania — znalazłem bowiem coś bardziej cennego niż kruszec, czy dolary — mianowicie rulon pergaminu, opatrzony tytułem:

„ZŁOTE MYŚLI PRAWDZIWEGO POLAKA" — przy czym „prawdziwego" podkreślono trzy razy.

Tuż pod wyżej wymienionym tytułem — odezwa:

POLACY!

Okres obecnej rzeczywistości jest przejściowy. Niemniej może trwać bardzo długo. Dla przetrwania go pozostawiam wam kilka wskazań, które winny was podtrzymać na duchu! Niech wam one będą codziennym pacierzem, hasłami politycznymi, filarami ducha w ciężkiej i, daj Boże, zwycięskiej walce o lepszą przyszłość. We wskazaniach tych zawarty jest program ideowy zdrowszego odłamu społeczeństwa — tego programu się przeto uczcie i według niego działajcie!!!

Podpisano: Przywódca duchowy.

Dalej już „złote myśli", z których ważniejsze brzmią, jak następuje:

„Polska to wielka rzecz".

„Czas uderzyć w czynów stal!"

„Za Jana Olbrachta wyginęła szlachta" („szlachta" przekreślone — dopisek: „Demokracja").

„Czerwony (przekreślone — dopisek: zielony) pas, za pasem broń!"

„Nie damy ziemi skąd nasz ród!"

„Kto się w opiekę... (dalszy ciąg wiersza zamazany plamą wodną, co wskazywałoby na to, iż przez niedość szczelną puszkę powstał zaciek na pergaminie).

„Kochajmy się!"

„Parasol noś i przy pogodzie".

„Niech nie wie lewica... (znowu plama wodna — wszelako patrząc pod światło, acz z trudem, można odczytać: „co robi prawica").

„Za winy ojców niepopełnione".

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny" („wojny" skreślone).

„God save the King!"

„Myśmy przyszłością narodu!"

„Od morza do morza!"

„Jednością silni, zwarci, gotowi! — Adam Mic... (dalej kleks).

„Hej, ty na białym koniu!"

„Witaj majowa jutrzenko" — i w końcu data: 30 — ostatniego dnia kwietnia, roku p. 1947.

Pod datą ostatnie zdanie drżącą już dopisane ręką:

„Komu w drogę temu czas!" i trzy krzyżyki.

Niniejsze „złote myśli" pozwoliłem sobie podać do wiadomości publicznej w niepłonnej nadziei, iż niezwykle głęboka i oryginalna ich treść stanie się balsamem dla tej części społeczeństwa, dla której Wielki Zmarły się trudził. Spełniam tym samym niejako ostatnią Jego wolę!

„CHCIAŁEM WPROWADZIĆ UCHWAŁY POCZDAMSKIE, ALE MI NIE POZWOLONO"

(Z ostatniej mowy min. Bevina)



Ilustr. Stanisław Cieloch

Chciałabym a boję się...

JERZY ŻAJĄCZKOWSKI

ROZMOWA

Linią, która po dnie oceanu
biegnie prosto drogą podmorską,
rozmawiało ze sobą dwóch panów,
oczka przy tym mrużąc szelmowsko.
Każdy z nich miał na sobie frak.
Rozmawiali mniej więcej tak:

—Hallo, hallo, kto przy telefonie?
Tutaj mówi z New Yorku, herr Johnson,
— Hallo, hallo. Gut morgen, Johnsonie!
Mówi Miller. Jak tam z naszą forsą?
Forsa będzie?!! Gott sei dank! O key!
O! Heil Hitl... przepraszam... Heil Clay!

— Co? Że krzyczą? To głupstwo, herr Miller.
Niech się złoszczą, niech grożą, niech warczą.
My wam damy dolarów tyle,
że będziecie się czuć jak za tarczą.
Na to Miller: — Gott sei dank! O key!
O! Heil Hitl... przepraszam... Heil Clay!

— No, a potem, a potem herr Johnson,
gdy już mocno będziemy stali,
przyrzekamy, że naszą troską
będzie zrobić użytek ze stali.
Za to wszystko: Gott sei dank! O key!
O! Heil Hitl... przepraszam... Heil Clay!



Małżeństwo doskonałe

Zgódźmy się — przede wszystkim, że takie nie istnieje. Już jest dobrze, jeśli małżeństwo nie żyje ze sobą jak pies z kotem, ale jak pies z psem, to znaczy, że czasem się ze sobą użerają, a czasem się sobie podlizują. Mężczyzna, żeniąc się, powinien uważać, ażeby nie musiał napisać na grobie swej żony, tak jak to robił pewien wdowiec: „Tu spoczywa moja małżonka — dla jej i mojego spokoju".

Zasadą małżeństwa powinno być „czyń drugiemu co tobie miło", poza tym kobieta powinna być jak herbata, to znaczy nie powinna zanadto naciągać.

Mniej więcej, szczęśliwe małżeństwa nie powinny się dobierać zaletami ale WADAMI. Nad tą głęboką prawdą, panowie, proszę się zastanowić. Mąż pijak, żona pijak, jakże zgodnie i miło ze sobą żyją! Mąż chodzi zalany w „Perłę", żona w „Podpalankę" czy to nie miły i wzruszający widok? A mąż snob i żona snobka? Co to za idealne małżeństwo! Mąż mówi: „zaprosiłem na obiad hrabiego, takiego a takiego, albo Ministra X". A żona ze łzami wzruszenia w oczach rzuca mu się na szyję szepcąc: „Och, jakiś ty dobry! Jak ty mnie kochasz!" Nie znamy takowych, ale możemy sobie wyobrazić, jak małżeństwo obojga spekulantów musi być zgodne i wobec siebie szczere, bo inaczej jedno drugiego mogłoby wpakować.

Najzgodniejsze małżeństwo, jakie zdarzyło mi się w życiu spotkać, niemal „Małżeństwo doskonałe", składało się z największych na świecie skąpiarzy. W restauracji, do której przemocą zaciągnęli ich znajomi, dawali przykład wspaniałego wzajemnego zgrania jak również i wzajemnego poświęcenia.

— Nie jesteś głodna, kochanie, prawda? — zapytał czule, mąż sknera.

— Oczywiście, że nie — odparła— ktoby tam jadł o tej porze.

Dla przyzwoitości trzeba było jednak coś zamówić, mąż zamówił więc jeden kieliszek wódki i jedną kanapkę. Zjadł jednak tylko połowę kanapki i wypił połowę kieliszka, resztę podsunął żonie. Oceniając to nadludzkie niemal poświęcenie, idealna żona wypiła połowę kieliszka do połowy i resztę przysunęła mężowi:

— Proszę cię bardzo, wypij tych kilka kropel na moje zdrowie!

— Kiedy ja to zostawiłem dla ciebie!

— Ja wiem, żeś ty się dla mnie poświęcił, ale mnie wódka szkodzi. Wypij za mnie, zrobisz mi tym prawdziwą przyjemność!

— W takim razie zamówię dla ciebie szklankę wody sodowej. Niech kosztuje ,co chce! Raz się żyje!

Skąpa żona też ma gest, stanowczo odmawia:

— Szkoda pieniędzy, mój drogi, musimy zbierać na podatki.

Kiedyś skąpy mąż stracił trochę pieniędzy na nieudanej tranzakcji. Tak się tym przejął, że postanowił popełnić samobójstwo. Żona, rozumiejąc jego depresję, nie sprzeciwiała mu się zanadto, ale obliczywszy koszty pogrzebu pomyślała, że jednak należałoby go odwieść od tego zamiaru.

— A w jaki sposób chcesz popełnić samobójstwo? — zapytała.

— Powieszę się! — wybuchnął mąż.

— Nie stać nas na to — odparła spokojnie żona.

— Jakto — nie stać?

— No, po prostu, nie stać nas na kupienie porządnego przedwojennego sznura, któryby się nie zerwał. Czy ty wiesz, co teraz taki sznur musi kosztować? I skąd wziąć na to? Nie stać nas na takie zbytki!

— To w takim razie otworzę gaz na noc i zatruję się gazem!

— Taak? A ja później będę musiała zapłacić dodatkowy rachunek za gaz? Gaz wybij sobie z głowy!

— Utopię się! — jęknął nieszczęśliwy.

— Szkoda ubrania, mógłbyś je dobrze sprzedać, a tak zostawisz na brzegu ,ukradną ci je i piętnaście tysięcy pękło! Dojazd tramwajem do rzeki też nie był wliczony w nasz tygodniowy budżet. Zrezygnuj na razie z samobójstwa i napij się jeden kieliszek wódki!

— Pół — westchnął mąż — a ty wypijesz drugą połowę!

— Wykluczone — odparła stanowczo skąpa żona — drugą połowę kieliszka trzeba zostawić dla gości.

ZYGMUNT FIJAS

DLACZEGO CHODZIMY DO ZOO?

Każdy miłośnik przyrody przyzna, że te osobliwości, jakimi rozporządza zwierzyniec łódzki, nie należą do atrakcji, nad którymi warto by się oddzielnie roztkliwiać. Przecież i poza murami Zoo spotykamy pracowników miejskich, którzy nie posiadają kartek żywnościowych i żyją tylko z pensji.

Przecież na każdej ulicy widzimy słajennych, którzy zwierząt poruczonych swej pieczy nie spożywają mimo, że mieliby do tego prawo.

A czyż pupile łódzkiego zwierzyńca są czymś aż tak godnym troski, aby im nosić i dostarczać rozrywek?

Przecież i w życiu nieogrodzonym widzimy osobników, których właściwie należałoby umieścić w klatkach. Wystarczy wyjść na ul. Piotrkowską, Marszałkowską, czy A-B, — rozejrzeć się wśród tych krajowych wyder, koczkodanów, hien — pojąć, że życie ogrodzone jest właściwie mizerną miniaturką życia nieogrodzonego i nie warte jest aż... ceny wstępu.

Usiądźmy w kawiarni, zajmijmy miejsce, które co prawda nie nosi szumnego napisu: Bison bonasus L., albo: Śmierdziel krajowy. Rozejrzyjmy się pośród tych srok, tych kruków, tych szakali, tych tchórzów... Pożałujemy orzeszków, którymi karmiliśmy pawiany.

Jeśli tedy życie nieogrodzone, nazwijmy je: „mniej ogrodzone", bo ogrodzone, to ono zawsze jest — jeśli tedy życie mniej ogrodzone jest równie ciekawe co „ogrodzone", to jakiż powód skłania nas do zakupna biletu, jakiż każe nam wdychać odór zwierzyńca? Czy może zwyczajna chęć pohuśtania się na trąbie Magdy?... nadzieja wetknięcia palca w paszczę hipopotamicy Lusi?... lęk przed egzekutorami, konieczność schronienia się przed deszczem, zwrot ku samotności, namiętność fotografowania się w towarzystwie zwierząt, nałóg spożywania drugiego śniadania w obecności czworonogów?

Śmiejmy się! Odkąd dzieje dziejami, człowiek nigdy nie szedł do zwierzyńca po to, aby kłaść palec do paszczy lwa, fotografować się, jeść śniadanie. Inne przyczyny powodują ten odwieczny pęd ku zwierzyńcom. Jakie, zobaczymy.

Przedtem trochę zoologii.

A więc lama. Znamy to prześliczne stworzenie, którego imię jest tak doskonałym uzupełnieniem słowa „Dalaj". Przywołajmy przed swe oczy tył tego zwierzęcia. Tył, który stanowi tak świetną kompozycję pośladków baletnicy, spodni gauchosa, ud żołnierza napoleońskiego i białych łydek naszego zwykłego, krajowego kurdupla. Przypomnijmy sobie to prześliczne spojrzenie tego mądrego zwierzęcia. Zestawmy je ze spojrzeniem byle uczennicy gimnazjum bieliźniarskiego — asystenta wydziału mereżkowania...

Przenieśmy teraz spojrzenie na dromadera, oto jego gigantyczna budowa rozpościera się przed wami, jak gmach pełen wymyślnych kapiteli i gzymsów.

Połóżcie na dłoń kromkę chleba, podsuńmy ją przyczynowo pod wargi tego zwierzęcia. Każmy to samo zrobić człowiekowi z kotletem. Niech swymi wargami wielkimi jak obręcz pompy przeniesie do żołądka ten kotlet. Niech zaleje tę porcję piętnastoma litrami łódzkiej wody. Niech kroczy przez pustynię z naręczem kaktusowego siana w jelicie. Niech waży tyle, co dromader, niech spożyje tyle centnarów marchwi, co nasz łódzki słoń, Magda.

A zatrzymajcie się przed papugą. Rozmawiajcie z tym najinteligentniejszym z ptaków. Korzystacie bardziej z tej, rozmowy, niż z dyskusji na temat zawiłości stylu, opływów i brodawek na kolanie. Pozwólcie się papudze dziobnąć czule w palec. Przyjrzyjcie się tej śmiałej gamie kolorów, jaką roztacza przed wami czapka papugi. Patrzcie na figlarne kędziorki nad kolczykami, na sweterek, na blezerek, na szaliczek gustowny. Starsze panie, czy posiadacie taką dolną wargę, która stanowi całość wraz z podbródkiem, szyją i dołkiem piersiowym?

Tylko podpudrować tę Arę, wetknąć jej w torebkę „Przekrój", „Słowo Powszechne", zawiesić nad łóżkiem portret Agenora Gołuchowskiego i pozwolić jej chwalić rządy hr. Badeniego.

Zestawcie teraz swe krótkie kopytkowate nosy, swój nędzny, platfusowaty chód. Spróbujcie sięgnąć językiem do przedramienia. Starajcie się powiedzieć coś o sobie w jednym tomie tak zwięźle, jak potrafi powiedzieć osioł przy pomocy jednego zwyczajnego poczochrania się. Wydajcie z siebie ów dźwięk wiadra pocieranego o żelazo, który jest właściwy ariom kłapoucha. Pokażcie mi waszą ślepą kiszkę, zbliżoną do kiszki ślepej słonia.

Przyjrzyjcie się marabutowi, zobaczcie, jak myśliciel ten kroczy po murawie? Jak stawia rozważnie swe iksowate nogi, jak potrząsa filozoficznie swą różową łysiną, jak roztropnie pochyla swą głowę, na której oficynie połyska kilka rozważnych kędziorków. W takiej jaskółce, za takim nosem, z taką majestatyczną kamizelą nie pokazuje się otoczeniu na pewno sam Sartre. Ten muzealny chód, to cały zasób mądrości wieków. Tak posuwać się po łąkach mogli tylko ci filozofowie, co wiedzy poświęcili bodaj jeden ząb mądrości.

Zrozumiecie, co was skłania do wizyt w zwierzyńcu.

Naprzód pycha, która odwiecznie każe wam znęcać się nad słabymi, potem zazdrość z powodu zatraconego ideału harmonii, w końcu zwyczajna ucieczka przed współbraćmi, wy nieopierzone, nieowłosione pomietła natury, które stajecie przed klatkami, a lepiej żebyście od razu zajęli miejsca za kratkami. Już o zawiści do bocianów nie mówię, bo nie chcę was zbytnio rozdrażniać, ale o tym już w innym felietonie.

Dnia 17.IX.1947 r. o godz. 19-tej w Klubie Pickwicka (Łódź, Traugutta 6) odbędzie się
WIECZÓR AUTORSKI JANA HUSZCZY
Wstęp bezpłatny! *Ordery nie obowiązują*

ALEKSANDER CHARIM

DARY DANAÓW

Po przyjeździe do Warszawy poznałem rodzinę Piotrowskich. Zaznajomiła mnie z nimi pani Zajączkowska, moja powinowata, stara tetryczka i malkontentka. Po jej odejściu nastrój poprawił się, rozmawialiśmy — państwo Piotrowscy i ja. Ja nie znałem dowcipów pana Piotrowskiego, on nie znał kawałów, które ja zwykłem opowiadać, zabawialiśmy się nawzajem, śmialiśmy się, bardzo miło spędziliśmy czas. Okazało się również, że mamy licznych znajomych wspólnych i kiedy żegnaliśmy się, pani Piotrowska zaprosiła mnie na najbliższą niedzielę na obiad.

W sobotę po południu udałem się do kwiaciarni. Zamierzałem posłać jutrzejszej gospodyni parę kwiatów. I wtedy właśnie przywieziono do kwiaciarni orchidee. Pomyślałem sobie, że to jednak nowi znajomi, a byli łaskawi zaprosić mnie na obiad i — zamiast skromnych kwiatów posłałem pani Piotrowskiej orchidee.

A ona przygotowała (dowiedziałem się o tym później, od pani Zajączkowskiej) — obiad, jaki zwykle jadali w niedzielę, tyle tylko, że trochę więcej, dla jeszcze jednej osoby. Otrzymawszy jednak orchidee, uznała, że obiad nie będzie wystarczający i pośpiesznie przyrządziła jeszcze jedną jarzynę i upiekła tort.

Jedzenie było istotnie bardzo obfite i smaczne, a każdy z nas miał jeszcze mnóstwo anegdot, których dotąd nie zdążyliśmy sobie opowiedzieć. Bawiliśmy się świetnie. Ponieważ obiad przekraczał wszelkie „spodziewanie" i ponieważ było ogromnie miło, postanowiłem potem zaprosić państwa Piotrowskich do teatru.

Udałem się do kasy, aby załatwić bilety. W instytucji, w której pracuję, pensje są skromne i jeżeli chodzę do teatru, to siedzę w tylnych rzędach sali. Ale tym razem zaprosiłem państwa Piotrowskich, którzy mnie tak gościnnie i wystawnie przyjęli, kupiłem tedy drogie miejsca w pierwszych rzędach. W teatrze było przyjemnie, przedstawienie było udane. W czasie antraktu jedliśmy ciastka, piliśmy herbatę, zaczęliśmy się lubić coraz bardziej. Po przedstawieniu zastanawialiśmy się, czy nie pójść jeszcze dokądś. Ale Piotrowski był temu przeciwny.

— Późno już — powiedział, spojrzawszy na swój niemodny zegarek, który wyjął z kieszeni.

Rozstaliśmy się, lecz po kilku dniach państwo Piotrowscy przyszli do mnie, do hotelu, odwiedzić mnie i pan Piotrowski przyniósł dużą stołową zapalniczkę. Bardzo piękną chromowaną. Był to podarunek dla mnie — prawdopodobnie rewanż za teatr. Piliśmy słodkie wino, opowiadaliśmy sobie o naszej miłości, o podróżach, śmialiśmy się, było bardzo zabawnie.

Kiedy następnie wybierałem się z wizytą do nich, czułem, że nie mogę przyjść z próżnymi rękoma, że powinienem czymś odwdzięczyć się za zapalniczkę. Mój budżet był już nadszarpnięty. Zastanawiałem się, co kupić, nie chciałem wydać dużo, ale nie chciałem też przyjść z czymś, co nie podobałoby się im. Ostatecznie wybrałem duży flakon porcelanowy ze znanej fabryki. Kosztował on, oczywiście, znacznie więcej, niż początkowo zamierzałem wydać, ale pocieszałem się tym, że mam jednak jakieś oszczędności, a państwo Piotrowscy są tacy mili, uważający, no, i tacy szczodrzy w stosunku do mnie: nie mogę zostać ich dłużnikiem.

Pani Piotrowska aż wykrzyknęła z radości, ujrzawszy ów flakon, zachwycała się nim, dziękowała i robiła mi wyrzuty, dlaczego narażam się na wydatki. Jej zachwyt i podziękowanie było bardzo uprzejme, wynagradzały mi przykrość uszczerbku pieniężnego. Siedziałem u nich długo, zatrzymali mnie na kolacji, pani Piotrowska przyrządziła znakomity posiłek, opowiadaliśmy o naszym dzieciństwie, było bardzo przyjemnie. Gdy odchodziłem, pani Piotrowska ciągle jeszcze zachwycała się flakonem i dziękowała mi. Rozpamiętywałem to wszystko potem w drodze powrotnej i uśmiechałem się zadowolony.

W ciągu następnych tygodni żyłem oszczędnie, żeby zrównoważyć swój budżet. Wieczorami nie wychodziłem z domu. Często jednak myślałem o Piotrowskich. Bardzo mili ludzie, bardzo ich polubiłem...

Aż dwunastego grudnia przyszli oboje.

— Wiemy, wiemy — wołał on, już od drzwi — dziś twoje imieniny. Przyszliśmy powinszować.



I wyjął jakiś przedmiot, owinięty w białą bibułkę.

— To dla ciebie — powiedział, wręczając mi podarunek.

Była to antyczna papierośnica, ciężka, z tulskiego srebra.

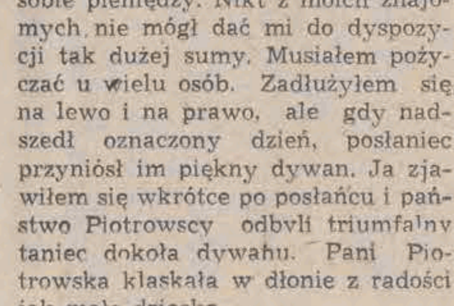
Prezent oczarował mnie i wzruszył. Rzuciłem się na szyję samemu Piotrowskiemu, objąłem także panią Piotrowską. Byliśmy już nie tylko znajomymi, ale także przyjaciółmi. Ach, jak przyjemnie otrzymywać podarunki! Ale z drugiej strony wstawiło mnie to w trudną sytuację. Nie mogłem przecież schować po prostu do kieszeni drogocennej papierośnicy, ciążył na mnie obowiązek zrewanżowania się czymś conajmniej równie wartościowym.

Wkrótce nadarzyła się okazja ku temu. Bo oto on miał imieniny. Kupiłem mu zegarek na rękę, dobrej marki, sportowy, taki, jakie nosi się obecnie. Zegarek podobał mi się, był ładniejszy od mojego i było przyjemnie móc przynieść mu go, móc dać mu go, ale wydatek pochłonął resztę moich oszczędności i naruszył równowagę pomiędzy dochodami a rozchodami, którą z takim trudem przywróciłem.

A Piotrowski ujrzawszy zegarek, aż pokraśniał, jak dziewczyna. Takie wrażenie na nim wywarł. Ucieszył się i zawstydził. Wtedy już kochaliśmy się bardzo. Wiedziałem, że on odczuwa i rozumuje podobnie jak ja i jego radość była moją radością. Byłem szczęśliwy, że dałem mu ten zegarek i pocieszałem się, że jednak wyrównam jakoś deficyt w swoim skromnym budżecie. Postanowiłem sobie żyć jeszcze oszczędniej, jadać w kuchni robotniczej...

Ale wtedy minęło dziesięć lat od czasu, gdy zacząłem pracować w swoim zawodzie, i z tej okazji dostałem od Piotrowskich walizkową maszynę do pisania. Marzyłem o takiej maszynie. Była piękna i znakomita. Sam nie kupiłbym sobie tak dobrej i tak drogiej. Byłem oczarowany, cieszyłem się niewymownie, ale uczucie radości mąciła troska z powodu mego stanu majątkowego i świadomość, że na mnie spada teraz obowiązek kupienia skolei im czegoś.

A oto zbliżała się rocznica ich ślubu. Nie mogłem kupić im rzeczy mniej wartościowej, aniżeli ta, którą otrzymałem od nich. Przeciwnie, uważałem za swoją powinność dać im coś jeszcze droższego. Po długich namysłach postanowiłem kupić im dywan. Na to musiałem pożyczyć sobie pieniędzy. Nikt z moich znajomych nie mógł dać mi do dyspozycji tak dużej sumy. Musiałem pożyczać u wielu osób. Zadłużyłem się na lewo i na prawo, ale gdy nadszedł oznaczony dzień, posłaniec przyniósł im piękny dywan. Ja zjawiłem się wkrótce po posłańcu i państwo Piotrowscy odbyli triumfalny taniec dokoła dywanu. Pani Piotrowska klaskała w dłonie z radości jak małe dziecko...



Ale potem, gdy zasiedliśmy razem do stołu, zaczęli biadać nade mną, że źle wyglądam, że przybyło mi zmarszczek, że na moich skroniach pojawiły się siwe włosy...

Jakże mogłem dobrze wyglądać, skoro gnębiły mnie troski. Nie mogłem teraz w żadnym wypadku liczyć na to, że uda mi się spłacić długi i wyjść z tarapatów jedynie przez oszczędne życie.... A tu zbliżały się imieniny pani Piotrowskiej. Oprócz zaś tego miałem wreszcie dostać przyobiecane mieszkanie i czekała mnie przeprowadzka, która również musiała pociągnąć za sobą wydatki. Nie miałem rady, musiałem przyjąć dodatkową robotę. Zacząłem pracować także po południu, przestałem palić, odmawiałem sobie wszystkiego.

I wtedy odwiedziła mnie moja powinowata, pani Zajączkowska.

— Ten też źle wygląda — zamruczała zaraz na wstępie, gdy tylko otworzyłem jej drzwi. Przyglądała mi się w dalszym ciągu i zarówno jej spojrzenie, jak i głos były dezaprobujące. — I nigdy was w domu nie ma — utyskiwała, kiedy wprowadziłem ją do pokoju i poprosiłem, by usiadła.

— Jakto was? — zdziwiłem się

— O, bo ja mam jeszcze jednego takiego pupila — wyjaśniła usiadłszy. — On również źle wygląda i jego również nie można ostatnio zastać w domu. Ale on — ciągnęła dalej — jest zadłużony, musiał przyjąć pracę dodatkową, pracuje teraz rano i wieczór...

— Co? — wykrzyknąłem zdumiony.

— Tak — potwierdziła swoim gderliwym głosem — dopiero wczoraj tam byłam. Ty go zresztą znasz, to Piotrowski, zapoznałam cię z nimi. Jego żona skarżyła się przede mną, że nie mogą wyjść z tarapatów. A w dodatku jakiś ich przyjaciel, wobec którego mają zobowiązania, przeprowadza się teraz do innego mieszkania i muszą mu kupić kosztowny podarunek...

ilustr. Stanisław Cieloch



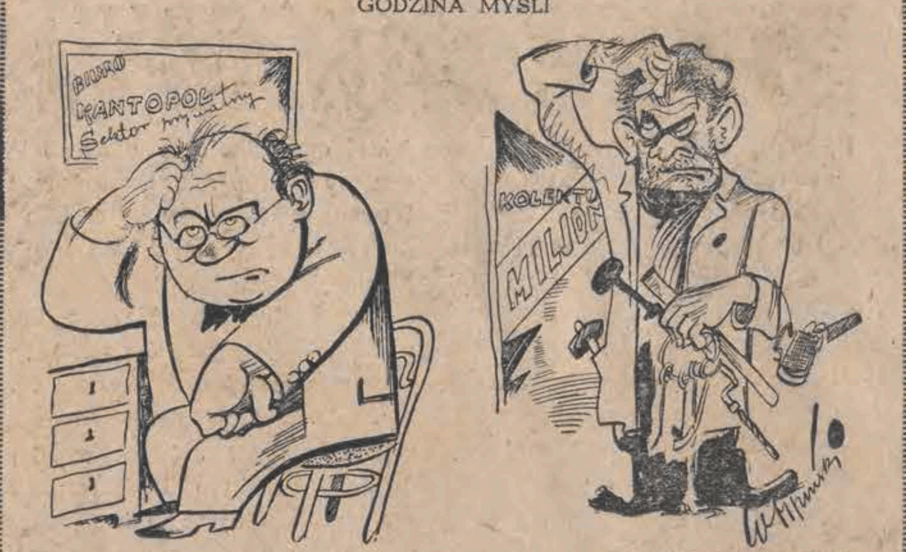
rys. Wacław Lipiński

— Z tą odbudową Warszawy to lipa! Już trzeci rok budują, a „Adrii" jeszcze nie odbudowali...



RYSUNEK BEZ PODPISU Rys. Lech Bagiński

GODZINA MYŚLI



Rys. Wacław Lipiński

— Co zrobić, aby zarobić? — Kogo „zrobić", aby zarobić?

Rady pani Ady

Od Redakcji. Wśród korespondencji, jaką co dzień otrzymujemy, znajdują się nietylko listy, zawierające prośbę o wydrukowanie ciętej fraszki, uciesznego dowcipu, wesołej humoreski czy piekielnie złośliwego wiersza, ale również i takie, w których czytelnicy z całym zaufaniem opisują swoje kłopoty życiowe i domagają się dobrej rady. Ponieważ nie czujemy się sami na siłach takich rad udzielać, dokooptowaliśmy do zespołu redakcyjnego naszą dobrą znajomą p. Adę primo voto Kupść, wdowę o gołębim sercu i kolosalnym doświadczeniu, która począwszy od bieżącego numeru będzie prowadziła w „Rózgach" poradnik dla zakłopotanych czytelniczek i czytelników.

Lusia z Rypina. „Ach — piszesz, Moje Dziecko — ja nie znajdę chyba męża, bo jestem strasznie brzydką panienką".

Zamyśliłam się głęboko nad tymi słowami. Nie potrafiłabym zapewne odpowiedzieć ci nic pocieszającego, gdyby nie to, że byłam na szczęście w tutejszym Zoo i widziałam hipopotamicę Lusię.

Lusia, Droga Lusieńko, jest także strasznie brzydką panienką i nie może sobie znaleźć męża (Łódź liczy z pewnością więcej kawalerów niż Rypin) ale nie tragizuje z tego powodu jak Ty. Wygrzewa się w słońcu, moczy w chłodnej wodzie i stosuje dietę wegetariańską.

Spróbuj i Ty tych środków, Złociutka Dziewczyno. Słońce, woda i marchew powinny dużo zmienić w Twoim samotnym życiu panieńskim.

Mieszek O. Fe, Mieszku, jak możesz? Mamusia Ci umarła 15 lat temu, gdy miałeś lat 13 i zostałeś sam z tatusiem i siostrzyczką Genią. Teraz Ty i siostrzyczka macie zmartwienie, bo się tatuś — jak powiadasz — „rozgląda za kobietą, no, ale my z Genią podstawimy staremu stołka i się nie ożeni".

Bardzo Cię proszę, Mieszku nie podstawiaj tatusiowi stołka. I wpłyń na Genię, żeby nie podstawiała. Niechże się tatuś ożeni. Pomyśl, Dziecko: 15 lat bez kobity!

Jeżeli jesteś subtelny, przyślesz mi, Chłopcze, fotografię swego tatusia. Nie zapominaj bowiem, że Pani Ada jest wdową.

Strapiona Blondynka. Włosy, Droga Pani, ta najwspanialsza ozdoba głowy ludzkiej, są wystawione, niestety, na wiele niebezpieczeństw.

Z jednej strony czyha na nie złowrogi łupież (silne łuszczenie się skóry), z drugiej — czai się chytre powiększenie gruczołów łojowych (zbyt mocne wydzielanie się tłuszczu).

Na łupież i łojotok — jak to obserwujemy na przykładzie Juliusza Cezara czy Jana Kiepury — najlepszym ratunkiem jest łysina, ale w Pani strapieniu, Kochana, to nie jest konieczne. Wystarczy D. D. T.

Stanisław M. Któż widział tak się załamywać, Miły Panie Stanisławie? Czy to ładny dodatek do męża stanu: „złamany"?

A z tą pańską popularnością nie jest naprawdę tak źle jak się Panu wydaje. Czyż zdarzył się ostatnio jakiś proces polityczny, aby Pańskiego nazwiska bodaj z parę razy nie wymieniono?

A więc: uszy do góry, a głowa na dół!

Stary Grzesznik. Owszem. Grzeszniku, nadchodzą w życiu człowieka takie chwile, które nazywamy momentami. Wspominamy wówczas, rozpamiętujemy... Zwłaszcza Pan ma co wspominać, Świntuchu Jeden. Jaka szkoda, żeśmy się wcześniej nie znali! Bo teraz to Pan tylko o ekspiacji, o odkupieniu win.

Jest taki piękny film szwedzki (wszystkie filmy szwedzkie są bardzo piękne i „Filmowi Polskiemu" należą się wyrazy uznania za to, że je sprowadza do Polski). Nazywa się — „Droga do Nieba". Idź, Grzeszniku, na ten film.

Jeżeli wysiedzisz do końca seansu, wszystkie grzechy będą Ci odpuszczone i wnijdziesz bez wizy do Królestwa Niebieskiego.

Anhelli. Układa Pan wiersze. Ciężko Panu idzie, pieniążków na życie brak, przydałaby się jakaś pomoc finansowa, trochę zet-eł-pe z Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Mileńki, czy nie wymaga Pan zbyt wiele? Czemu Pan, Drogi Anhelli, układa wiersze, a nie „układa" np. gołębi?

Ministerstwo Kultury i Sztuki bardzo ceni tę sztukę. Właśnie niedawno p. Józef Truszkowski otrzymał od p. ministra Dybowskiego nagrodę 10 tysięcy zł. za kunsztowne ułożenie różnych krymków, wajsfiglów i winerków do sztuk w cyrku Maciąga.

Dadulka. Nie pierwszy to raz w historii zdarza się, że kobiety nie grzeszą nadmiarem ścisłości.

Nie przejmuj się wiąc, Słodka Dadulko, że przyjaciółka Twoja, Giga powiedziała: „ta ruda małpa Dadulka ma więcej lat, niż włosów".

Żebyś nie wiem jak była skąpo owłosiona, to z tymi latami, nieprawdaż, lekka przesada.

Pani Ada.



Rys. Janusz Zarębski

— Tatusiu, jeden chłopiec powiedział, że jestem podobny do ciebie?
— A ty co na to?
— Nic — on jest silniejszy ode mnie.



Rys. Lech Bagiński

— Tatusiu, a dlaczego ten balon nie unosi się w powietrze.



(„Marc Aurelio")

— Czego pan tak trąbi?
— To z uciechy, że nareszcie kogoś przegoniłem!



(„Srsen")

— Tatusiu, przyniosłem cenzurę...



Rys. Wacław Lipiński

— Czy panowie stoją w ogonku?
— Tak jest.
— A na co panowie czekają?
— Aż nam z tej knajpy piątego kole gę wyrzucą!

„Rozgi" ukazują się co tydzień — REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254 20, wewn. 8. Przyjmuje się codziennie od godz. 12 — 2. Wydaje R. S. W. „Prasa", Łódź, Żwirki 17 — tel. 208-42. D-018028